

Autor: Geoffrey A. Landis Tytuł: WOJNA RORVIKA

(Rorvik's War)

Z "NF" 8/96

1. Granatnik leży obok szeregowca Rorvika, skulonego na ziemi pod osłoną zrujnowanego budynku. W powietrzu czuć ostry zapach bezdymnego prochu.

Rorvik umiera. Między palcami przyciśniętymi do rany na brzuchu sączy się krew, szkarłatna jak ból, który przeszywa ciało. Krew wsiąka w wyschniętą glebę Bostonu, zamieniając ją w czerwono-brązowe błoto. Błota jest mnóstwo, bo krew wsiąka od wielu godzin. Spróbuj zapomnieć o bólu, spróbuj nie myśleć o tym, że umierasz.

Jest zmęczony, potwornie zmęczony, ale nie może zasnąć. Ból nie pozwala na żaden ruch. Każdy oddech wbija mu się w żołądek niczym bagnet. Strach zniknął, podobnie jak nadzieja; pozostał tylko ból.

Niebo jest błękitne, stanowczo zbyt błękitne jak na taki szary dzień: oślepiający wypolerowany błękit, beznadziejny bełkotliwy bezsensowny błękit, bolesny byle jaki bałwaniasty bufonowaty... Przestań. Przestań, przestań, przestań. Myśl o czymś innym. W ustach czuje smak miedzi. Może jednak go uratują. Odgłosy bitwy, chrzęst gąsienic mikroczołgów, Rosjanie wycofują się w panice. Fioletowe odbicie słońca w soczewce kamery wychylającej się zza rogu, okrzyk: "Hej, tu jest ktoś żywy!", żołnierze - Amerykanie, Bogu dzięki! Mnóstwo ruchu, ludzie dokoła, ktoś odbezpiecza granat dymny i ciska go na otwartą przestrzeń, kipiący wiśniowy dym rozpełza się jak bezcielesny duch, wskazując miejsce lądowania załodze śmigłowca. "Co ci jest? Trzymaj się,

wzewaliśmy sanitariuszy. Pomoc już w drodze. Wszystko będzie w porządku, tylko wytrzymaj jeszcze trochę.” Furr, furr, furr, nadlatuje śmigłowiec, kolejne ukłucie bólu, kiedy sanitariusze kładą Rorvika na noszach, ból jest wszechobecny, ale jednocześnie odległy, bo przecież wszystko będzie w porządku. Uśmiecha się ze stoickim spokojem, a żołnierze nagradzają owacją ten przejaw męstwa. Śmigłowiec wzbija się w powietrze, rosyjskie stingery nadlatują ze wszystkich stron, ale nie czynią żadnych szkód, oszukane przez wabiki lub zestrzelone przez broń pokładową, wszystko będzie w porządku, wszystko będzie w porządku, wszystko będzie w... Przestań.

Umierasz. Ratunek nie nadejdzie. Amerykanie są w odwrocie. Jedyne, na co możesz liczyć, to na szybkie przybycie Rosjan.

Myśl o czymś innym. Myśl o rodzinie. Myśl o Lissy. Usiłuje sobie przypomnieć twarz córki - bez powodzenia. Kasztanowe włosy, piegi, nosek jak guziczek. Puste słowa. Zadęczała go prośbami, żeby powoził ją trochę na kolanie jak na kucyku, nie, jak na koniu, bo kucyki są dla małych dzieci; nagle widzi ją przed sobą, na wyciągnięcie ramienia, dziewczynka naprawdę tam jest, więc usiłuje się do niej uśmiechnąć i powiedzieć, że wszystko jest w porządku i że kocha ją najbardziej na świecie, ale uśmiech zamienia się w grymas, a zamiast słów z jego gardła wydobywa się przeraźliwe skrzeczenie. Próbuje wyciągnąć do niej rękę, lecz wtedy ból eksploduje mu w żołądku z siłą 50-milimetrowego pocisku. Zaciska zęby, żeby nie krzyknąć, po czym wypluwa krew. Lissy tam nie ma, nigdy jej nie było, a on już jej nie zobaczy.

I właśnie wtedy słyszy przybierający na sile łoskot, czuje drżenie gruntu ubijanego gąsienicami i odnóżami

sześcionożnych transporterów. Tym razem wie, że nie majączy. Boże! Czy to prawda?

Próbuje się poruszyć, spojrzeć, ale ból jest zbyt silny. Coś miga na granicy pola widzenia, więc powoli unosi głowę i odwraca ją w tamtą stronę. Ożywają wskaźniki na uszkodzonym granatniku; dioda systemu identyfikacji przeciwnika miga czerwonym blaskiem: nieprzyjaciel. Drugie światełko, tuż obok, płonie spokojną zielenią: cele namierzone i w zasięgu ognia, pociski uzbrojone, gotowe do wystrzelenia.

Granatnik jednak działa! Posuwający się naprzód Rosjanie przeoczyli go, być może dlatego że został częściowo przysypany gruzem, co zmyliło ich sondy zwiadowcze. Sądząc po przybierającym na sile drzeniu ziemi i coraz głośniejszym łoskocie, zbliża się cała dywizja piechoty zmechanizowanej. Jeśli wyda rozkaz odpalenia, narobi tam niezłego bigosu.

A zaraz potem sondy zwiadowcze zlokalizują go i rozwalą na strzępy.

Może wyłączyć granatnik i czekać, aż tamci go znajdą. Chyba biorą jeńców wojennych? Wezmą go do szpitala, wyleczą i może kiedyś, przy okazji wymiany jeńców, zostanie odesłany do domu, co prawda jako inwalida, ale żywy. Będzie bohaterem. Nikt się nie dowie o historii z granatnikiem. Nikt nigdy się nie dowie.

Spogląda na broń. Znikaj stąd, myśli. Nie chcę cię. Nigdy o ciebie nie prosiłem. Nigdy nie chciałem być żołnierzem.

Wróci do domu jako bohater, ale w głębi duszy będzie wiedział, jak było naprawdę, a w dodatku Rosjanie posuną się naprzód, zajmą Boston, Worcester i Springfield. Lissy

nauczy się po rosyjsku, będzie chodziła do rosyjskich szkół i po jakimś czasie zacznie go nienawidzić.

Słyszysz szmer; coś wspina się po rumowisku. Chwilę później zza rogu wychyla się obiektyw, dokładnie tak, jak sobie wyobrażał, ale to jest rosyjski obiektyw, wyrastający na ruchliwym przegubie z kamery zaopatrzonej w sześć pajęczych metalowych odnóży. Nieuzbrojona jednostka zwiadu bojowego. Przygląda mu się, mrużąc coś cicho.

Znaleźli go. Teraz albo nigdy.

Odrywa rękę od rany na brzuchu i próbuje usiąść. Rana natychmiast zaczyna mocniej krwawić, lecz on stara się na nią nie patrzeć, próbuje nie zwracać uwagi na ból. Sonda - dzięki Bogu, rzeczywiście jest nieuzbrojona! - wciąż mu się przygląda.

Kładzie rękę na przytroczonym do piersi mikropulpicie sterowniczym i naciska klawisz z napisem ODPALENIE. Granatnik podskakuje i drży jak epileptyk, ze szczeliny wystrzeliwiają samonaprowadzające się na cel granaty przeciwpancerne, niemal jednocześnie pomruk sondy zmienia wysokość i Rorvik wie, że Rosjanie odpowiedzieli w ten sam sposób, ale jest już za późno, zarówno dla nich, jak i dla niego. Opada z powrotem na ziemię i łapie powietrze szeroko otwartymi ustami. Oczy zasnuwa mu czarnofioletowa mgła. Gdzieś z bardzo daleka dobiega przytłumiony odgłos eksplozji - pociski trafiły w cel - a zaraz potem blisko, coraz bliżej, rozlega się narastający świst nadlatujących głowic.

Pierwszy pocisk wybucha w odległości kilku metrów; betonowa nawierzchnia podnosi się niczym fala i od niechcenia ciska go na ocalałe fragmenty ściany. Rorvik otwiera oczy, po chwili odzyskuje ostrość widzenia, tylko po

to, by w ostatnim ułamku sekundy ujrzeć głowicę, która go zabije, jak z maleńkiego punktu rośnie do rozmiarów ogromnego czarnego koła, zasłaniającego błękitne niebo.

Zaraz potem ogarnia go nicość.

2. Dzień, w którym otrzymał powołanie do wojska, Rorvik zapamiętał tak dobrze, że wciąż wydawało mu się, iż było to zaledwie wczoraj. Wszystko zaczęło się o wpół do ósmej rano, kiedy Angela wychodziła do pracy. Pocałowała go, obiecała, że wróci do domu najprędzej, jak będzie mogła, i właśnie wtedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Kto to może być, o tej porze? - zapytała, uwalniając się z jego objęć.

- Przypuszczalnie jakiś domokrażca. - Pukanie rozległo się ponownie: trzy miarowe stuknięcia. Rorvika ogarnęła irytacja. Przez cały dzień miał Angelę wyłącznie dla siebie tylko przez tych kilka minut rano, zanim wyszła do pracy, kiedy Lissy jeszcze nie wstała z łóżka. - Ja to załatwię. - Podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownym szarpnięciem, gotów zwymyślać intruza. - O co chodzi?

W progu stał łysiejący mężczyzna w skromnym granatowym garniturze, za nim zaś dwaj znacznie wyżsi i potężniej zbudowani. Ten w garniturze zerknął na trzymany w ręce świstek.

- Pan Davis C. Rorvik?

- Czego chcecie?

- Czy pan Rorvik?

- Tak, ale...

Mężczyzna spojrzał na Angelę, po czym przeniósł wzrok na Rorvika.

- Czy możemy porozmawiać przez chwilę na osobności?

- Nie możecie! - oświadczyła stanowczo Angela, stając przy mężu. - Jeśli pan chce mu coś powiedzieć, proszę zrobić to tutaj, przy mnie. - Popatrzyła znacząco na zegarek. - Tylko szybko.

Mężczyzna w garniturze wzruszył ramionami, a następnie zwrócił się do Rorvika:

- Panie Rorvik, moim obowiązkiem, jako posiadającego wszelkie niezbędne uprawnienia agenta służby rekrutacyjnej rządu Stanów Zjednoczonych, jest poinformować pana, że od tej chwili służy pan w Siłach Zbrojnych naszego kraju.

- Zaraz, chwileczkę...

Mężczyzna otworzył teczkę, wyjął z niej plik kserokopii, podsunął mu pierwszą z wierzchu i wskazał miejsce u dołu strony. Było to podanie o stypendium fundowane, z zamierzonych czasów, bo jeszcze ze studiów.

- Czy to pański podpis?

Nie przypominał sobie treści dokumentu, ale podpis był bez wątplenia autentyczny. Wówczas wydawało się to znakomitym rozwiązaniem: konkretne pieniądze przez cały okres studiów w zamian za obietnicę odbycia służby wojskowej. Wszystko wskazywało na to, że nie będzie musiał wypełnić przyrzeczenia; komunizm legł w gruzach, wojna była prawie nieprawdopodobna.

- Tak, ale...

Mężczyzna w granatowym garniturze dał znak jednemu z goryli, który błyskawicznie wyjął coś z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Jestem za... - Rozległo się ciche syknięcie i Rorvik poczuł lodowate ukłucie w karku. - Jestem za...

Kolana ugięły się pod nim, zaraz potem osunął się na podłogę. Angela wrzasnęła przeraźliwie.

Nie mógł się poruszyć. Czuł się tak, jakby mięśnie miał z ciepłego budyniu, a głowę owiniętą szmatami. Mężczyzna wciąż mówił, jednak już nie do niego, tylko do Angeli:

- Zgodnie z Ustawą Nadzwyczajną numer 09-13A nie wolno pani nikogo informować o fakcie powołania pana Rorvika ani prowadzić dyskusji na temat ewentualnego miejsca jego pobytu. Niezastosowanie się do zakazu może pociągnąć za sobą konsekwencje przewidziane przepisami prawa, z karą więzienia włącznie. - Jeden z goryli chwycił Rorvika pod pachy, drugi wziął go za nogi. - Nie wolno pani także kontaktować się z przedstawicielami prasy, radia i telewizji. - Angela przestała krzyczeć. - Ustawa Nadzwyczajna numer 09-13A przewiduje także, iż zostanie pani wypłacona pełna rekompensata za wszelkie straty, jakie ewentualnie poniesie pani w związku z nieobecnością męża.

Barczyści mężczyźni dźwignęli go z podłogi, wynieśli na zewnątrz i skierowali się w stronę szarego kombi czekającego z włączonym silnikiem przy krawężniku. W pewnej chwili Rorvik zobaczył swego sąsiada Jacka, zmierzającego szybkim krokiem do stacji metra; szedł ze wzrokiem wbitym w chodnik, jakby nagle zainteresowały go chwasty wyrastające ze szczelin między popękаныmi płytami.

W chwili gdy wsadzali go do samochodu, Rorvik wreszcie zdołał dokończyć zdanie, które zaczął, jak mu się zdawało, kilka godzin temu:

- ...stary, żeby iść do wojska. Mam już trzydzieści osiem lat!

3. - A, to ten. Jak się nazywasz, PN?

- Rorvik.

- Szwed?

- Prawie. To norweskie nazwisko.

- Niewłaściwa odpowiedź, PN. - Ogromny kapral stuknął go pięścią w pierś. - Licz głośno, a ja ci powiem, kiedy przestać.

Rorvik wykonał pad w przód i zaczął robić pompki.

- Jeden! Dwa! Trzy!...

- Zapamiętaj sobie: jesteś Amerykanin albo po tobie. Rozumiesz?

- Rozumiem, panie poruczniku.

Porucznik - Driscott, według identyfikatora przypiętego do kieszeni munduru - przez kilka sekund przyglądał mu się w milczeniu.

- Tobie może się wydaje, że nazywasz się Rorvik, ale ja myślę, że jesteś PN. Masz coś przeciwko temu, PN?

- Nie, panie poruczniku.

- To dobrze. Szybko się uczysz, PN. Wiesz, co znaczy PN?

- Nie, panie poruczniku.

- PN znaczy Pierdolony Nowicjusz, a to z kolei znaczy, że jesteś niebezpieczny, PN. Przez ciebie wszyscy możemy zginąć, na przykład jeśli zapomnisz się i wyjdiesz z okopu, żeby się odlać. Dobrze byłoby się odlać, co, PN?

- Nie, panie poruczniku.

- Dobra odpowiedź. Jak tylko wychylnisz nos z okopu, zobaczy cię latające oko, a chwilę potem zostanie z ciebie krwawa miazga. Ma się rozumieć, mnie jest wszystko jedno - nikogo nie obchodzi, czy armia straci jednego PN więcej - ale przy okazji ta sama salwa artylerii rozsmaruje mnie na kilku hektarach pól i lasów, a to by mi się wcale, ale to wcale nie podobało... A teraz licz po cichu, PN, i słuchaj mnie uważnie. Nazywamy cię PN, żeby nie zapomnieć, że musimy mieć cię na oku i że nie możemy ci ufać ani trochę, nawet przez chwilę. Jeden PN jest groźniejszy od dziesięciu latających oczu. Jeśli dożyjesz chwili, kiedy przyślą nam nowego faceta, być może dostaniesz jakieś ludzkie imię, a wtedy to on będzie PN. - Driscott postawił stopę na grzbiecie Rorvika i przycisnął go do ziemi. - Dopóki to nie nastąpi, masz postępować ściśle według regulaminu. Kto wie, może dzięki temu wszyscy pożyjemy trochę dłużej. Zrozumiałeś?

- Tak jest, panie poruczniku.

- To dobrze. Coś mi się zdaje, PN, że szybko się dogadamy. Naprawdę tak mi się zdaje.

Rzecz jasna, transport powietrzny nie funkcjonował, bo rosyjskie mikrosatelity szpiegowskie błyskawicznie wykryłyby każdy samolot, a kilkadziesiąt sekund później wystrzelone z ogromnej odległości rakiety rozwalą go na kawałki. Rorvik wraz z jeszcze kilkoma poborowymi, równie jak on oszołomionymi i poturbowanymi, przebył strefę

zakazaną w konwoju pojazdów opancerzonych, który przemykał od punktu umocnionego do punktu pod osłoną niezliczonych wabików, tarcz energetycznych oraz zagłuszaczy. Początkowo nie mógł zrozumieć, po co w ogóle ich tam wiozą; później dowiedział się, że na polu bitwy łączność radiowa często zawodzi, w związku z czym najważniejsze informacje przekazywane są za pomocą nadajników mikrofal i laserów, zasięg tego sprzętu zaś jest ograniczony linią horyzontu. Co prawda, żadne ogniwo łączności nie jest w pełni niezawodne, ale im krótsze ogniwa, tym większa szansa, że spełnią swoje zadanie.

Jeszcze później uświadomił sobie, że właściwie nie ma znaczenia, gdzie rozlokowano żołnierzy. W każdej chwili pod ostrzałem mogło znaleźć się każde miejsce na obszarze obejmującym wiele tysięcy kilometrów kwadratowych, zależnie od tego, co wymyśliły rosyjskie komputery usiłujące wyśledzić kryjówkę amerykańskiego Naczelnego Dowództwa. Nie było czegoś takiego jak linia frontu, ponieważ linia frontu była wszędzie.

Driscott zdjął stopę z jego grzbietu i wyciągnął rękę. Minęła dłuższa chwila, nim Rorvik zrozumiał, że porucznik chce pomóc mu podnieść się z ziemi.

- Szybko się nauczysz, na czym polega ta wojna. Pierwsza rzecz to, że nic nie wiemy. Tutaj, na sam dół, nie przekazują nam żadnych informacji.

- Rozumiem, panie poruczniku.

- Jesteś żonaty, PN? Masz rodzinę?

- Tak, panie poruczniku.

- Fatalnie. Lepiej od razu o nich zapomnij. Kiedyś, na samym początku, żołnierze wygodnie się dekowali, pozwalając

wojować maszynom, a czasem nawet jeździli do domów na weekendy, ale to się szybko skończyło. Pieprzeni Ruscy nie przestrzegają żadnych reguł. Zginęło mnóstwo ludzi, kiedy namierzyli nasze zgrupowania. Jesteś tu aż do końca, jasne?

- Tak jest.

Najzabawniejsze było to, że prawie nie pamiętał początku wojny. Co prawda, był już wystarczająco duży, żeby godzinami siedzieć z rodzicami przed telewizorem i oglądać nadawane przez CNN bezpośrednie transmisje z rozpadającego się Związku Radzieckiego oraz dzielić ich radość i ulgę, kiedy światu przestała zagrażać nuklearna zagłada, ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że przejęcie władzy w Rosji przez juntę i nowa zimna wojna nastąpiły w mgnieniu oka, akurat wtedy, kiedy na chwilę odwrócił wzrok od ekranu. Patrząc wstecz, wydawało się nieuchronne (choć wtedy nikt nie był w stanie tego przewidzieć), że z ruin sowieckiego systemu wyłoni się człowiek, który wprowadzi rządy silnej ręki. Dziwne, jak coś tak ważnego może się wydawać równie odległe. Był wtedy bardzo zajęty zakładaniem rodziny oraz walką o utrzymanie posady w przemyśle, którego stan pogarszał się z roku na rok. Naturalnie zdawał sobie sprawę, co się dzieje na świecie, potrafił zacytować nagłówki artykułów i powtórzyć prezentowane w nich dane, niemniej jednak zagrożenie nigdy nie wydawało mu się realne, nawet wtedy, kiedy zimna wojna przeistoczyła się w gorącą.

Tym bardziej że rodzaj zagrożenia był zupełnie inny; ta wojna, w przeciwieństwie do poprzedniej, miała być wojną na komputery, nie na pociski.

- Nie rozumiem, po co tu jesteśmy - poskarżył się Driscottowi. - Mówili nam, że komputery odesłały wojnę do lamusa. Dzięki symulacjom można przewidzieć rezultat

każdej bitwy, więc nikt nie powinien mieć ochoty, żeby walczyć naprawdę.

- A to dobre! - ucieszył się kapral. - Opowiedz mi o tym, chłopcze.

- Jeśli nasze komputery, po przeprowadzeniu symulacji, powiedzą to samo co rosyjskie, to po co w ogóle strzelać? Ten, kto ma przegrać, dowie się o tym i pierwszy zrezygnuje z walki... Tak przynajmniej miało być. Co się stało?

- Dałeś się nabrać, PN. Za dużo oglądałeś telewizji. - Driscott potrząsnął głową. - Wciskali ci kit, i tyle. Komputery nie wiedzą wszystkiego, bo nie znają się na pieprzonej psychologii. Możesz wprowadzić do nich liczby, ale co z morale? Potrafisz zaprogramować tchórzostwo i odwagę? Nauczysz je, kiedy ludzie robią w gacie ze strachu? - Ponownie stuknął pięścią w pierś Rorvika. - Sprawa rozbija się o nas, chłopcze. Ty i ja, na tym właśnie polega różnica. My tu nie walczymy, tylko udowadniamy ruskim komputerom, że gówno wiedzą o amerykańskich żołnierzach. Idziemy naprzód bez względu na to, co nam zrzucają na głowy, nawet wtedy, jeśli dokoła jest tylko spalona ziemia albo same skały. My nigdy się nie poddajemy. Nigdy, rozumiesz?

- Rozumiem, panie poruczniku.

4. W pierwszych chwilach po obudzeniu wydaje mu się, że jeszcze wczoraj był cywilem, ponieważ wspomnienia z tamtego, cywilnego życia są znacznie silniejsze i wyraźniejsze od wojennych. Jednak wrażenie to szybko mija. Po prostu wojna zaczęła się tak szybko, jego dawne życie zaś w tak niesamowitym tempie uległo całkowitej

przemianie, że wciąż nie jest w stanie zdać sobie do końca sprawę z upływu czasu.

Rorvik jest operatorem latającego oka, jednym z najlepszych. Latające oko to mała kamera działająca w podczerwieni, połączona z nadajnikiem radiowym automatycznie kodującym sygnał, podwieszona pod samolocikiem, do którego doczepiono miniaturowy silnik ze śmigłem. Całość, po złożeniu skrzydeł, nie przekracza rozmiarami długopisu i daje się wystrzeliwać ze zwykłego karabinu. Zadanie Rorvika polega na wyszukiwaniu celów dla artylerii, ukrytych często nawet w odległości ponad osiemdziesięciu kilometrów.

Wojna to zakrojona na wielką skalę zabawa w chowanego. Jak tylko uda się zlokalizować przeciwnika, inteligentne pociski wygryzają dziurę w jego zbroi, by dostać się do ukrytego wewnątrz mięsa.

Zwiadowca zakamuflowany w opustoszałym mieście wystrzeliwuje go wysoko w niebo. Rorvik nic nie wie o tym żołnierzu i nic nie chce wiedzieć; czeka z narastającą niecierpliwością, aż osiągnie apogeum i wreszcie rozpostrze skrzydła. Milczący, prawie nieuchwytny dla radaru, szybuje nad pogrążonymi w ciemności budynkami, wypatrując ruchu. Porusza się zygzakiem, by utrudnić zadanie temu, kto zechciałby go zniszczyć. Paliwa wystarczy mu na pięć minut, ale wśród operatorów latających oczu włączenie silnika choćby na chwilę uważane jest za wielki dyshonor; dokonują nadludzkich wysiłków, by godzinami unosić się w powietrzu, skrętnie wykorzystując prądy wstępujące, zanim wreszcie będą musieli wrócić do odrażającego świata betonowych korytarzy, brutalnych sierżantów, cuchnącej bielizny i przeznaczonych do podgrzania racji żywnościowych, które zjada się na zimno, żeby dodatkowa dawka promieniowania podczerwonego nie zdradziła wrogowi miejsca rozlokowania

oddziału. Rorvik nienawidzi golić się w zimnej wodzie, do szafu doprowadzają go sierżanci z E-5 rznący bez końca w karty, rzygać mu się chce od smrodu stęchłego moczu, jaki rozłazi się po bunkrze za każdym razem, kiedy któryś z żołnierzy otwiera pojemnik, do którego załatwiają potrzeby, a także od obrzydliwej woni niemytych ciał, która bez przerwy wypełnia pomieszczenie. (Wśród żołnierzy krążą plotki, że nieprzyjaciel w pośpiechu pracuje nad skonstruowaniem pocisków z zapalnikami zapachowymi; jak tylko zastosuje je na polu walki, w amerykańskich oddziałach zostanie wprowadzona ścisła dyscyplina, jeśli chodzi o higienę osobistą. Rorvik modli się, by nastąpiło to jak najprędzej.)

Jednak kierując okiem, znajduje się z dala od tego wszystkiego. Unosi się nad miastem nie zważając na ciało pozostawione daleko w dole, a elektroniczne oczy mikroszpiega stają się powoli jego własnymi.

Zapada zmierzch. Co prawda, jest wiosna, ale nieliczne drzewa, jakie jeszcze pozostały w mieście, prawie nie przeszkadzają mu w prowadzeniu obserwacji. Jego uwagę zwraca nagłe poruszenie; zawraca gwałtownie, lecz niczego nie widzi. Tam! A jednak. Robi zbliżenie. Wiatr wlecze po ulicy skrawek papieru. Rorvik przez pewien czas krąży nad tym miejscem, lecz nie jest w stanie dostrzec nic więcej. Wie, że wywiad wojskowy już teraz pracuje nad przekazanym obrazem kawałka papieru, usiłując dociec, czy świstek został przygnany znad stanowisk amerykańskich, czy od nieprzyjaciela.

- Mały Orzeł? Wuj Henry zawiadomił nas, że w sektorze Tygrys 39 widziano ślady Niedźwiedzi. Byłoby dobrze, gdybyś rzucił na to okiem. Potrzebujesz nowego ptaka?

Tygrys 39. Wyświetla mapę, nakłada ją na widziany obraz. Mniej więcej kilometr na północ, na obszarze, który kiedyś był północnym Cambridge.

- Nie, chyba że bardzo im się spieszy. Mogę tam być za pięć minut.

- W porządku, czekamy.

Skręca w kierunku wznoszącej się po lewej stronie, różowej kolumny ogrzanego powietrza, zwiększa prędkość, a kiedy końce skrzydeł zaczynają leciutko drżeć, zmienia ich nachylenie i rozpoczyna wspinaczkę ku chmurom.

Cztery minuty później dociera w wyznaczony rejon. Oglądane w podczerwieni niebo jest brunatnobrązowe.

- Wycofaliśmy stąd naszych ludzi - słyszy głos w słuchawkach. - Wszystko, co zobaczysz, to będą Niedźwiedzie.

Z tyłu słyszy świst rozcinanego powietrza, podrywa się gwałtownie w górę i nurkujący jastrząb mija go o centymetry. Rorvik natychmiast kieruje się w dół, by nabrać prędkości, jednym okiem śledząc rosyjskiego jastrzębia, który z kolei szybko wzbija się na wyższy pułap, żeby ponowić atak, drugim natomiast spoglądając na mapę, by stwierdzić, czy znajduje się w pobliżu sektora, w którym może liczyć na ogień wspomagający z ziemi. Niestety, nic z tego. Włącza mikrofon.

- Wintergreen, przygotuj następnego ptaszka. Mam kłopoty z jastrzębiem.

- Nie dam rady. W pobliżu pojawiło się kilka niedźwiedzich oczu, więc musimy siedzieć jak myszy pod miotłą. Uciekaj do sektora X-9.

Rosyjski jastrząb uruchomił silnik pulsacyjny i runął na niego z góry.

- Nie zdążę. Za daleko. Rozwal te oczy.
- Przykro mi, ale jest ich za dużo. Nie możemy ryzykować ściągnięcia na nas ognia artylerii. Musisz sam sobie radzić.
- Pieprzę cię, Wintergreen.

Wykonuje unik. Nawet nie ma co marzyć o prześcignięciu jastrzębia, więc gwałtownie odpycha drążek i, klucząc jak szalony, kieruje się w stronę podziurawionego budynku, przy którego ścianie tworzą się potężne zawirowania. Liczy na to, że uda mu się do nich dotrzeć i wykorzystać ich siłę dla przeprowadzenia manewru wymijającego, ale nie docenia siły wiatru wiejącego nad samą ziemią; gwałtowny podmuch porywa go jak słomkę, odwraca podwoziem do góry, ciska na beton, na ułamek sekundy przed roztrzaskaniem podrywa go w górę i zawiesza kilka metrów nad ziemią. Rorvik nie widzi pikującego jastrzębia, lecz i tak doskonale zdaje sobie sprawę z jego obecności. Wie, że już po nim.

Sekundę później jastrząb rozpada się na kawałki, posiekany ogniem z broni maszynowej. Rorvik jakimś cudem dociera do najbliższego prądu wznoszącego i rozpoczyna wędrówkę w górę.

- Co to było, do diabła?
- Znalazłem dupka, który był tak głupi, że wyszedł z ukrycia i sprzątnął go z peemu. Jesteś mi winien kolejkę. Dasz sobie radę?
- Jasne.

- Miej oczy szeroko otwarte. Co prawda, artyleria bezpośredniego wsparcia musi siedzieć cicho, ale w razie potrzeby możemy skorzystać z dział dalekiego zasięgu. Te kobyły poradzą sobie nawet z główną kwaterą Ruskich, gdyby przypadkiem udało ci się ją namierzyć.

- Zrozumiałem, bez odbioru.

Dociera na właściwą wysokość, po czym kieruje się ku Tygrysowi 39.

Zna ten teren. Kiedyś pracował w pobliżu, bardzo dawno temu, zanim się ożenił. Przez chwilę zastanawia się, dlaczego właściwie Rosjanie dokonali inwazji; zbrojenia pozwoliły ożywić dogorywającą gospodarkę, ale czy zajmowanie obcego terytorium ma jakikolwiek sens? Najwidoczniej mieli jednak jakiś powód albo przynajmniej pretekst, lecz chwilowo Rorvik nie jest w stanie przypomnieć sobie jaki. Nic dziwnego; czy komukolwiek udało się zrozumieć Rosjan? Lepiej zostawić to zawodowcom, z ich superkomputerami i symulacjami n-tego stopnia. Żołnierze mają inne zajęcia.

Tygrys 39. Już podczas pierwszego okrążenia dostrzega skupisko stosunkowo mało zniszczonych budynków, przypuszczalnie pozostałość osiedla mieszkaniowego. Trochę zanadto wyeksponowane, żeby wykorzystać je na bazę, ale... Zniża lot, rozglądając się uważnie w poszukiwaniu śladów życia. Nic. Wciąż nic. Tam! Ledwo uchwytny obłok ciepła, w podczerwieni coś jakby skupisko żółtawej mgły. Rorvik zmienia ogniskową; panoramiczne ujęcie pozwala mu ustalić trasę, którą przebyła istota. Ślad staje się coraz wyraźniejszy, coraz świeższy. Na wszelki wypadek jeszcze raz zerka na mapę: ludność i wojsko ewakuowano z tego obszaru. Nic nie stoi na przeszkodzie, by otworzyć ogień.

Nagły ruch tam, w dole.

- Chyba coś mam. Przygotujcie się.

Jeszcze bardziej zniża lot.

- Jesteśmy gotowi.

Zawisa nad ziemią, kołysany turbulencjami rozgrzanego powietrza, czeka. Wreszcie jego cierpliwość zostaje nagrodzona: znowu ruch. Stopa.

- Mam ich! Niedźwiedzie wystawiły chyba posterunek, kierujący ogniem. - Sprawdza współrzędne. - Koordynaty 5 na 22, cel powierzchniowy, stacjonarny. Zwiększam pułap, żeby naprowadzić pociski na cel.

Daje się unieść silnemu prądowi, po chwili przesuwa się nieco, by zmniejszyć prędkość wznoszenia.

W słuchawkach odzywa się inny głos. Towarzyszy mu echo stanowiące rezultat wielokrotnego kodowania i rozkodowywania oraz przekazywania sygnału okrężną drogą, przez kilka nadajników:

- Odebrałem. Odpalam pierwszy, drugi i trzeci.

Na niespełną sekundę obraz przekazywany przez kamerę niknie przed jego oczu, zatarty migoczącą mgiełką zakłóceń. Emisja silnego promieniowania elektromagnetycznego ma za zadanie oślepić nieprzyjacielskie radary i uchronić pociski przed natychmiastowym zniszczeniem. Rorvik zdaje sobie nagle sprawę, że siedzi w betonowym bunkrze z hełmem na głowie, zapatrzony w miniaturowy ekran, ale zaraz potem znowu unosi się wysoko w powietrzu.

Baza, z której wystrzelono pociski, znajduje się w odległości kilkudziesięciu kilometrów; minie prawie minuta, zanim głowice pokonają ten dystans i będzie musiał naprowadzić je precyzyjnie na cel. Coś jednak nie daje mu spokoju; odtwarza zarejestrowany obraz, robi powiększenie, poprawia kontrast. Stopa w cieniu betonowego nawisu. Bosa. Czyżby z dyscypliną u Rosjan było aż tak źle? Wraca nad to miejsce, szybuje powoli, ostrożnie, badając teren. Jest. Coś się porusza, ale cień jest za głęboki, żeby cokolwiek dojrzeć. Jeszcze bardziej podkreśla kontrast - bez rezultatu. Zamierza zrezygnować, ale w ostatniej chwili uzyskuje wyraźny obraz.

Troje dzieci okrąża tanecznym krokiem jakiś duży podłużny przedmiot. Najstarsze ma około czternastu lat, najmłodsze nie więcej niż dziewięć. Jedno z nich, z zawiązanymi oczami, ściska złamany kij od szczotki. Zabawie przygląda się wychudzony żółty pies. Rorvik koncentruje uwagę na tajemniczym przedmiocie. Mija dłuższa chwila, zanim udaje mu się rozpoznać kartonową rurę osłaniającą podczas transportu rosyjskie rakiety przeciwlotnicze kalibru 180 milimetrów. Została pomalowana w kolorowe łaty, ma czworo nóg z patyków, oczy i doprawione obwisłe uszy. Prymitywna imitacja osiołka. Zabawka.

- Za dwadzieścia sekund przejmujesz sterowanie - odzywa się głos w słuchawkach.

- Natychmiast zniszczyć pociski!

- Powtórz.

- Zniszczyć pociski! Tu są cywile!

- Zrozumiałem. - Wysoko w górze rozlegają się trzy stłumione wybuchy. - Pociski zdetonowane. - Chwila milczenia, a potem: - Podaj nowe namiary.

Rorvik czuje się jak garść popiołu, jak całkowite zero. Pomyłki zdarzają się dość często, co nie zmienia faktu, że przełożeni z pewnością nie będą zachwyceni.

- Fałszywy alarm. Przepraszam, chłopcy.

Tym razem milczenie trwa znacznie dłużej.

- Szeregowy Rorvik, szef operatorów chce z wami porozmawiać - odzywa się wreszcie głos.

Oficjalna forma nie zwiastuje niczego dobrego.

- Zrozumiałem.

- Natychmiast, Rorvik.

- Tak jest. - Rozpaczliwie szuka pretekstu, by choć trochę dłużej zostać w powietrzu, ponieważ zdaje sobie sprawę, że to może być jego ostatni lot. - Zgłoszę się zaraz po wylądowaniu.

- Nic z tego, Rorvik. Szef chce cię mieć teraz. Zniszcz oko i goń do niego, zanim poda cię do raportu za niesubordynację.

- Zrozumiałem.

Systemy elektroniczne latającego oka są wyposażone w układ autodestrukcyjny uaktywniany zakodowanym sygnałem lub włączający się samoczynnie w kilka sekund po utracie łączności. Reszta, to znaczy silniczek, skrzydła i stateczniki, jest nieistotna. Rorvik podnosi osłonę przycisku, przez chwilę pieścotliwie przesuwając nim palcem, wreszcie naciska. Przed jego oczami rozbłyskuje oślepiające światło, a potem jest już tylko jasny ekran, wypełniony niezliczonymi plamkami zakłóceń.

Zdejmuje hełm. Siedzi w głębokim fotelu w bunkrze zagraconym sprzętem. Pomieszczenie wypełnia nieprzyjemna woń potu i rozgrzanych urządzeń elektronicznych. Obok, w identycznych fotelach, tkwią dwaj operatorzy latających oczu; w bąblastych hełmach, z mlecznymi osłonami na oczach, nie mają pojęcia o otaczającym ich świecie. Bola go wszystkie mięśnie, napięte przez cały dyżur, ale w bunkrze jest tak ciasno, że nawet nie może się przeciągnąć. Odpina laryngofon i idzie złożyć wyjaśnienia.

5. Nie są informowani o przebiegu wojny, ale sądząc po tym, że wciąż się wycofują, oraz że uzupełnienia i dostawy sprzętu docierają coraz rzadziej i bardzo nieregularnie, sytuacja chyba nie wygląda zbyt dobrze.

Kilku ludzi z oddziału Rorvika schwytało rosyjską porucznik i umieściło ją w położonym na uboczu bunkrze; oficjalnie jest to zapasowe centrum dowodzenia odcinkiem, w rzeczywistości natomiast nieużywany garaż o dachu na tyle solidnym, by na zewnątrz nie przedostało się zdradzieckie promieniowanie podczerwone. Nazwali ją Olga. Nikt nie wie, jak się nazywa naprawdę; co prawda, na kieszonce munduru - kiedy jeszcze miała mundur - znajdowała się naszywka z imieniem, ale żaden z chłopców nie zna cyrylicy, kobieta zaś nie potrafi albo nie chce mówić po angielsku.

W oddziale Rorvika służą sami mężczyźni. W armii nikt nie słyszał o równouprawnieniu płci. Zdecydowana większość oddziałów liniowych składa się wyłącznie z mężczyzn; kobiety można spotkać wyłącznie w większych ośrodkach dowodzenia i w służbach pomocniczych. Istnieją także nieliczne oddziały kobiece, stanowiące obiekt niezdrowych domysłów oraz fantastycznych spekulacji, ale Rorvik styka się z nimi wyłącznie na polu walki, gdzie nie ma to żadnego

znaczenia, ponieważ sondy i zdalnie sterowane roboty bojowe są bezpłciowe, kierujący nimi ludzie zaś ukryci za parawanem niezliczonych kodowań i rozkodowań. Dla wielu jego kolegów rosyjska porucznik jest pierwszą kobietą, jaką widzą od tygodni, a niekiedy nawet od miesięcy.

Poza tym doskonale zdają sobie sprawę, jak niewielkie mają szanse na przeżycie.

Jeden z nich zaprasza Rorvika do udziału w zabawie, a kiedy ten bez słowa przyspiesza kroku, sypią się za nim uszczypliwe uwagi:

- Patrzcie, jak zadziera nosa!
- Nie, on po prostu nie może się doczekać, kiedy wreszcie złapiemy jakiegoś chłopca!
- A może schował gdzieś cyscatą panią major?

Porucznik udaje, że o niczym nie wie, choć to niemożliwe. Teoretycznie powinni przekazywać jeńców wojennych dowództwu, które rozpaczliwie potrzebuje Rosjan do symulacji, ale chwilowo to także jest niemożliwe. Nie ulega jednak wątpliwości, że jak tylko oddział dołączy do batalionu, kobieta zostanie "odnaleziona" i uratowana z rąk "bandy cywilów", która ją bezwzględnie wykorzystywała.

Czy może coś zrobić? Gdyby poinformował przełożonych o sytuacji, rosyjska porucznik zniknęłaby bez śladu na długo przed przybyciem inspekcji, a kto wie, czy taki sam los nie stałby się także jego udziałem. Mimo to świadomość, że jednak powinien coś uczynić, nie daje mu spokoju - szczególnie wtedy, kiedy po ośmiogodzinnym dyżurze zostaje sam na sam z myślami.

Sytuacja zmienia się tak szybko, że wyznaczanie na mapie linii frontu nie ma najmniejszego sensu. Większa część Bostonu nie jest kontrolowana ani przez Rosjan, ani Amerykanów, obie strony natomiast obserwują ją z niesłabnącą uwagą. Nikt nie jest w stanie stwierdzić z całą pewnością, czy oddział Rorvika istotnie znalazł się na terytorium przeciwnika; wiadomo tylko tyle, że są zdani wyłącznie na siebie.

Bunkier jest ukryty głęboko pod Dorchester. Kiedy górą przewalała się bitwa, nie mogli wytknąć nosa na zewnątrz, ale teraz, gdy najcięższe walki toczą się w Roxbury, nie muszą zachowywać aż tak daleko posuniętych środków ostrożności. Podczas dyżuru, rzecz jasna, Rorvik zawsze znajduje się w samym środku bitwy, bez względu na to, gdzie się ona rozgrywa.

Zamiast latającymi oczami kieruje teraz czterema robotami bojowymi. Robi to na zmianę z Drejvicem: sześć godzin służby, sześć odpoczynku. Roboty są inteligentne; jeśli następuje przerwa w łączności, prowadzą walkę samodzielnie aż do chwili ponownego nawiązania kontaktu z operatorem. Dzięki SIP-owi (Systemowi Identyfikacji Przeciwnika, opartemu na zmieniających co godzinę kodach), nie grozi im, że zaczną strzelać do siebie nawzajem, choć nie ulega wątpliwości, iż pod bezpośrednim nadzorem działają znacznie wydajniej. Tylko w ogniu najgorętszej walki lepiej jest pozostawić je samym sobie, ponieważ reagują nieporównanie szybciej od człowieka. Rorvik interweniuje jedynie wtedy, kiedy ich elektroniczne mózgi natrafiają na problem, którego nie sposób jednoznacznie rozwiązać, ponieważ prowadzi to do niebezpiecznego wahania, czasem zaś nawet do blokady systemu. Niekiedy prosi Ricka, który steruje swoimi czterema robotami, by chwilowo przejął kontrolę nad którąś z jego maszyn, czasem zaś Rick zwraca

się z taką samą prośbą do niego, ale każdy stara się, by zdarzało się to jak najrzadziej.

Ochrzcił je: Angie, Lissy, Grubas i Wścibiuch. Drejivic nadał im inne imiona.

Podłącza się do komputera. Kiedy steruje robotami, jego ciało przebywa w bunkrze, ale on - to znaczy, jego najważniejsza część - towarzyszy podopiecznym. Przeskakuje między metalowymi ciałami; przebywając w jednym z nich, ma ciągły podgląd obrazów rejestrowanych kamerami pozostałych, kiedy zaś skoncentruje się na "swoim" robocie, tamte przejmują inicjatywę i walczą samodzielnie.

Najbardziej lubi Angie i Lissy. W niczym nie przypominają miniaturowych aparatów latających jednorazowego użytku, którymi posługiwał się dawno temu, na początku wojny; to prawdziwe, uzbrojone roboty bojowe, zużywające ogromne ilości energii, w związku z czym należy podrywać je w powietrze tylko wtedy, kiedy jest to rzeczywiście niezbędne. Czynił to wielokrotnie, wykorzystując w tym celu doczepione do panczerzy rakiety na paliwo stałe. Niestety, zaraz potem musiał sprowadzać oba roboty do bazy, gdzie czekały na wymianę rakiet i uzupełnienie paliwa. Ostatnio okresy oczekiwania znacznie się wydłużyły, co raczej nie napełnia go optymizmem. Co gorsza, za każdym razem jest opieprzany przez sierżanta i musi wysłuchać wykładu o tym, w jaki sposób unikać sytuacji, w których niezbędne staje się wykorzystanie wszystkich możliwości cennego sprzętu.

Tak się niefortunnie składa, że Angie właśnie czeka na nowe silniki, a Lissy jest w naprawie. Podczas niedawnej potyczki została trafiona kilkoma pociskami z działka małokalibrowego, w związku z czym parę części nadaje się wyłącznie do wymiany.

Grubas i Wścibiuch to dwunożne maszyny kroczące. Kierując nimi czuje się niemal tak, jakby sam siedział wewnątrz robociej zbroi. Grubas jest najbardziej wszechstronnym spośród jego podopiecznych; niestety, skończyła się amunicja kalibru 3 mm do "rozpylacza" stanowiącego podstawowe uzbrojenie robota i choć dysponuje jeszcze pociskami kalibru 10 mm oraz raketami, to jednak w walce Grubas wciąż usiłuje korzystać z "rozpylacza". Wahanie, które następuje zawsze po tym, jak przekona się, że broń nie działa, choć trwa zaledwie ułamki sekund, może okazać się fatalne w skutkach. Najwidoczniej elektroniczny mózg robota w wyniku uszkodzeń odniesionych na polu bitwy zatracił zdolność uczenia się i zapamiętywania.

Wścibiuch działa bez zarzutu, ale jest bezbronny i pozostanie taki aż do chwili, kiedy oddział połączy się z głównymi siłami i wreszcie zostaną uzupełnione braki w sprzęcie oraz amunicji. Rorvik zazwyczaj pozwala Grubasowi działać samodzielnie, sam zaś bezpośrednio kieruje działaniami Wścibiucha.

Roboty najczęściej walczą z robotami. Co prawda, obie strony wysyłają na pierwszą linię także oddziały piechoty składające się z ludzi, ci jednak większość czasu spędzają w doskonale zamaskowanych schronach, ruszając do akcji tylko wtedy, kiedy trzeba wykonać szczególnie skomplikowane zadanie.

W oddali zasnute chmurami niebo jarzy się czerwoną poświatą; to płoną ruiny Bostonu.

Biuletyn operacyjny przewiduje godzinę spokoju. Tak długie okresy ciszy zdarzają się niezmiernie rzadko; widocznie któraś ze stron wytropiła ważny ośrodek dowodzenia wojsk nieprzyjaciela i teraz obaj przeciwnicy koncentrują tam siły, szykując się do starcia. Bez względu na przyczynę, z okolicy

znikły wszystkie rosyjskie oczy. Po to, by utrzymać maksymalną efektywność działania, operatorzy robotów bojowych muszą mieć zapewnione co najmniej trzy godziny nieprzerwanego odpoczynku, Rorvik wie więc, że wcześniej nie zostanie wezwany na stanowisko, chyba że nastąpiłoby coś całkiem nieprzewidzianego.

Zaledwie przecznicę od bunkra jest skwer z kilkoma cudem ocalałymi drzewami; najbliższy odpowiednik parku w promieniu wielu kilometrów. Postanawia pójść tam, ale kiedy dociera na miejsce, przekonuje się, że wcześniej ktoś wpadł na taki sam pomysł.

Kobieta ma szybkostrzelny pistolet maszynowy zainstalowany w obrotowym stelażu na prawym ramieniu; lufa kieruje się w jego stronę w tej samej chwili, kiedy kobieta podnosi głowę. Rorvik odruchowo cofa się o krok; widok tej broni działa mu na nerwy. Wie, że pistoletem steruje się za pomocą impulsów myślowych. Wystarczy wydane bezgłośnie polecenie i będzie martwy. Kobieta musiała zgłosić się na ochotnika, ponieważ przepisy zabraniają dokonywania modyfikacji w systemie nerwowym żołnierzy bez ich zgody. Oznacza to, że należy do oddziału liniowego złożonego z ludzi, co czyni sprawę jeszcze bardziej niezwykłą, ponieważ tam również przyjmują wyłącznie ochotników.

On także służył kiedyś w takim oddziale, dawno temu, na początku wojny, podczas pierwszej bitwy o Boston. Pamięta doskonale, że... Ale to naprawdę było dawno. Nie ma sensu odgrzebywać tych wspomnień.

Insygnia na jej mundurze świadczą o tym, że jest specjalistką IV klasy. Do Rorvika dotarły plotki, że gdzieś w pobliżu stacjonuje bojowy oddział złożony z samych kobiet, nie przypuszczał jednak, że ich obszary działania niemal się

pokrywają. Pistolet na ramieniu dziewczyny przypomina żywą istotę, śledzącą każdy jego ruch pozbawionym wyrazu spojrzeniem czarnego oka lufy.

- Tutaj wcale nie jest bezpieczniej niż na pierwszej linii, żołnierzu - odpowiada kobieta na pytanie, którego jeszcze nie zdążył zadać. - Szczerze mówiąc, wolę być tam, gdzie w każdej chwili mogę odpowiedzieć ogniem na ogień, niż kryć się w jakimś bunkrze, tak jak wy, i nawet nie wiedzieć, co mnie zabiło.

- Ta broń czyni cię celem dla nieprzyjaciela.

- Ta broń czyni mnie niebezpieczną. - Uśmiecha się. - Lubię być niebezpieczna.

Jest za wysoka, nadmiernie umięśniona i za bardzo kanciasta, ma na sobie połowy mundur uszyty z grubego ogniotrwałego materiału. Cholernie go podnieca. Kobieta chyba zdaje sobie z tego sprawę, ponieważ śmieje się głośno.

- Żołnierze uważają, że każda baba, która służy w wojsku, ma hyzia na punkcie seksu. To nieprawda. Mam męża i dwoje dzieci. To dla nich walczę.

- Wiem.

- A ty jesteś żonaty, żołnierzu?

Kiwa głową.

- Dobrze wam się układa? Macie dzieci?

- Dziewczynkę.

Tym razem to ona kiwa głową.

- Więc sam wiesz, jak to jest. - Rozpina kurtkę. - Oni są tam, my jesteśmy tutaj. - W zamyśleniu przesuwając palcem po lufie pistoletu, drugą ręką dotyka jakiegoś przycisku i lufa przestaje się poruszać. - To się nie zdarzyło, rozumiesz? Żadnych zobowiązań, żadnych obietnic, żadnych planów na przyszłość.

- Oczywiście.

Rorvik nie wierzy, żeby była jakakolwiek przyszłość. Już nie. Widział kratery powstałe w miejscach, gdzie niedawno stały domy, widział wielokilometrowe kolumny uchodźców zmierzających w kierunku obszarów, które uważają za bezpieczne, widział morze ruin rozciągające się tam, gdzie kiedyś był jego dom, gdzie mieszkał z żoną i córką.

Wciąż jednak wierzy w teraźniejszość.

Kobieta nazywa się Westermarker. Klęka przed nim, rozpina mu spodnie, dotyka czubkiem języka spodniej strony penisa, a on przesuwając palcami po jej krótko ostrzyżonych, czarnych, lekko kręconych włosach. Jednocześnie przez głowę przemyka mu tabun wzburzonych myśli. Jest gotów wybuchnąć, zastanawia się, czy zdoła się powstrzymać, czy eksploduje natychmiast, jak tylko weźmie go w usta. Zastanawia się, czy kiedykolwiek zdoła opowiedzieć Angeli o tym zdarzeniu, czy ona go zrozumie. Zastanawia się, czy kobiety służące w armii dostają hormonalne środki antykoncepcyjne. Zastanawia się, czy zdąży wziąć ją dwa razy.

Kobieta ściąga mu slipy, chwyta go obiema rękami za pośladki, delikatnie muska językiem czubek penisa, seria z broni maszynowej trafia ją w brzuch i pierś. Otwiera usta, by krzyknąć, ale nie krzyczy. Z poszarpanego munduru sterczą białe, potrzaskane fragmenty żeber, wydobywa się

czerwona miazga. Chwilę potem, nie wydawszy głosu, kobieta umiera.

Częściowo ogłuszony hukiem Rorvik cofa się, potyka o spodnie, przewraca na plecy, błyskawicznie odwraca się na brzuch, podnosi głowę i spogląda prosto w obiektyw rosyjskiego robota bojowego. Rozlega się cichy szum hydraulicznych siłowników. W polu widzenia Rorvika pojawia się lufa pistoletu maszynowego.

Zaciska powieki. Otacza go intensywna woń krwi.

Nic się nie dzieje.

Po długim czasie otwiera oczy. Maszyna wciąż stoi przed nim, broń wciąż jest wycelowana w jego czoło. Robot sprawia wrażenie znacznie bardziej prymitywnego i zarazem znacznie groźniejszego od jednostek bojowych, z którymi Rorvik ma na co dzień do czynienia. Ostrożnie, powoli, sięga do tyłu i zaczyna przesuwając ręką po ziemi. Maszyna wciąż nie reaguje. Wreszcie, spocony jak mysz, Rorvik znajduje kamień, waha się przez chwilę, po czym ciska nim w robota.

Maszyna bez najmniejszego wysiłku robi unik, wciąż mierzy go nieruchomym spojrzeniem obiektywu, wciąż celuje w niego z pistoletu. Widocznie zaciął się zamek, myśli Rorvik, a zaraz potem: Boże, na pewno podał już współrzędne artylerii!

Ale przecież zaledwie kilkanaście sekund temu broń działała bez zarzutu, robot zaś nie czyni żadnego wysiłku, by oddalić się poza obszar rażenia pocisków.

Popęłnił niewybaczalny błąd wychodząc z bunkra bez broni, ale przecież jest operatorem zdalnie sterowanych jednostek bojowych, nie żołnierzem walczącym z przeciwnikiem twarzą w twarz. Niezdarnie podciąga spodnie jedną ręką,

podpierając się drugą i gramoląc się na nogi. Odwraca się, gotów do ucieczki, lecz natychmiast staje jak wryty, bowiem słyszy za sobą chrzęst żwiru i nagle rozumie, co jest grane.

Dokąd mógłby uciec?

Robot zabił Westermarker. Westermarker była uzbrojona, choć nie na wiele jej się to przydało, ponieważ zagrożenie zjawilo się znienacka. On, Rorvik, nie ma broni, więc nie przedstawia sobą żadnego zagrożenia. Ukryty kilka lub kilkanaście kilometrów stąd operator rosyjskiego robota może zastrzelić go w każdej chwili, zdaje sobie jednak sprawę, iż obecność nieuzbrojonego żołnierza świadczy o tym, że gdzieś w pobliżu znajduje się punkt dowodzenia. Nic prostszego, jak pozwolić nieprzyjacielowi uciec, naturalnie ani na chwilę nie spuszczać go z oka.

Na tarczy sygnalizatora rozbłyskuje pulsujące czerwone światełko: ostrzeżenie przed zagrożeniem i zarazem wezwanie do natychmiastowego powrotu na stanowisko.

Czuje się tak, jakby zamiast płuc miał w piersi ogromny blok lodu. Nie może oddychać. Nie odważy się wrócić do bunkra, bo ujawniłby jego położenie nieprzyjacielowi. Nie ma jak ostrzec kolegów, ale gdyby nie wrócił, na pewno domyślą się, co się stało, i będą mieli się na baczności. Dla niego i tak już wszystko skończone.

Odurzający zapach krwi rozwiął się w powietrzu, pozostał natomiast silny smród prochu, który zdaje się wypełniać cały świat. Powoli, bardzo powoli Rorvik odwraca się, idzie, przyspiesza kroku, wreszcie zrywa się do biegu. W prawo, po zboczu wzniesienia, coraz dalej od bunkra, od bezpieczeństwa, od nadziei.

6. Do Worcester zwycięscy Rosjanie wkraczają wiodącą z Bostonu Belmont Street. Czekają na nich ruch oporu. Oddziałowi Rorvika udało się znaleźć zniszczoną na samym początku działań wojennych stację benzynową, której ukryte pod ziemią zbiorniki pozostały nie naruszone. Napełnili benzyną pojemnik na śmieci, dosypali mnóstwa jakichś świństw, na spodzie umieścili spory ładunek prochowy z detonatorem wykonanym ze startera świetłówki.

Bomba jest ukryta za częściowo zniszczoną frontową ścianą jednego z domów; ot, porzucony pojemnik na śmieci, jeden z niezliczonych odpadków w zrujnowanym mieście. Rosjanie całkowicie dominują w powietrzu i potrafią błyskawicznie namierzyć oraz zniszczyć każdy nadajnik, w związku z czym partyzanci nie mogą korzystać z łączności radiowej. Stracili dwóch ludzi, zanim to zrozumieli. Rzucali monetą i los wskazał Rorvika. Znalazł sobie płytką niszę po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie ukryli bombę, i czeka, czując, jak pot ścieka mu strużkami po plecach. Przez niewielki otwór w drewnianej ścianie obserwuje nieprzyjaciela, który maszeruje, pełźnie, jedzie i przetacza się ulicą. Zastanawia się, czy uda mu się wyjść z tego z życiem.

Teraz.

Eksplozja jest potworna, gwałtowny czarno-pomarańczowy orgazm zwielokrotniony dudniącym grzmotem. Siła podmuchu unosi jeden z okrytych ceramicznym pancerzem, jednoosobowych czołgów, i ciska go na ścianę. Maszyna natychmiast usiłuje się podnieść, lecz jej wysiłki są całkowicie daremne. Zgodnie z planem wybuch nadwerężył kamienną fasadę budynku, która teraz chwieje się dostojnie, po czym, jak na zwolnionym filmie, spada na mijającą ją kolumnę. Lawina granitowych brył, marmurowych płyt i

pokruszonych cegieł przysypuje pięć czołgów i ponad dziesięć robotów.

Rosyjski dowódca nie traci głowy. Pył jeszcze nie zaczął opadać, a Rorvik już słyszy wydawane przez głośniki komendy:

- Zostawili człowieka, który zdetonował ładunek. Znaleźć go! Drużyna A, przeszukać lewą stronę ulicy, drużyna B - prawą!

Powinien był rzucić się do ucieczki zaraz po naciśnięciu guzika. Co prawda, wśród gruzu i pyłu jest całkowicie niewidoczny dla zwyczajnych oczu, ale czujniki podczerwieni z pewnością pokazują go jak plamę roztopionego metalu. Ma tylko kilka sekund. Skulony w pół, co sił w nogach biegnie ulicą, słysząc za sobą chrzęst ciężkich kroków.

Skręca w boczną alejkę w nadziei, że choć na chwilę ukryje się przed kamerami krążących w górze zwiadowców, ale okazuje się, że po niedawnych bombardowaniach została całkowicie zasypana gruzem. Już za późno, żeby zawrócić; rosyjscy żołnierze depczą mu po piętach. Kątem oka dostrzega piwniczne okienko z wyłamana kratą. Jakimś cudem szyba ocalała, lecz to nie stanowi dla niego problemu. Rozbija ją bryłą asfaltu, po czym daje nura w ciemność.

Przy lądowaniu boleśnie uderza się w nogę. Niebawem jego oczy przyzwyczajają się do ciemności. Piwnica jest pusta, jeśli nie liczyć walających się po kątach śmieci, betonowa posadzka wilgotna. Naprzeciwko okna kiedyś znajdowały się schody wiodące na parter; została z nich tylko sterta roztrzaskanego drewna. Drzwi wiszą nad pustą przestrzenią; przez otwory po pociskach widać niebo.

Nie ma dokąd uciekać. Zostanie tutaj na zawsze.

Za oknem przesuwają się metalowe odnoże sondy zwiadowczej. Rorvik kuśtykając odchodzi w najdalszy kąt pomieszczenia, przykuca, mocniej ściska broń. Sonda zatrzymuje się, czeka na polecenie operatora, po czym wsuwa do środka wysięgnik z obiektywem.

Obiektyw spogląda w lewo. Rorvik bierze go na cel, ale czeka na lepszą sposobność do strzału. Sonda zaczyna przeciskać się przez okno, obiektyw kieruje się w prawo, lecz zanim zdąży pokazać Rorvika, ten naciska spust.

Z roztraskanego hydraulicznego wysięgnika tryska strumień oleju. Zanim Rorvik zdąży powtórnie nacisnąć spust, w górze rozlega się jakiś hałas. Słyszy strzał i niemal jednocześnie czuje potwornie silne uderzenie w pierś; kolejny strzał, który pada ułamek sekundy później, roztrzaskuje mu czaszkę.

7. Zaraz po obudzeniu, jak zwykle, pamięta ze wszystkimi szczegółami chwilę, kiedy został powołany do wojska. To było bardzo dawno. Potem Stany Zjednoczone przegrały wojnę, a on trafił do niewoli i wraz z wieloma innymi został umieszczony w obozie reedukacyjnym. Ponieważ nie zgłosił się na ochotnika, tylko trafił do armii z poboru, władze obozu uznały go nie za zbrodniarza wojennego, lecz ofiarę imperialistycznych agresorów. Dzięki temu zamiast kulki w kark otrzymał szansę poprawy.

Czekając w kolejce przed salą, w której miał się odbyć wieczorny wykład, poczuł, jak stojący za nim żołnierz kładzie mu rękę na ramieniu, chwilę potem zaś usłyszał jego szept:

- Spotykamy się dziś w nocy. Wolność nade wszystko!

Czy oni oszaleli? Czy nie wiedzą, że Niedźwiedzie wszędzie mają agentów i płatnych informatorów? Do licha, gdyby

przekazał władzom informację o tajnym zebraniu, być może dostałby dodatkowe racje żywnościowe, a kto wie, czy nie pozwolono by mu nawet zobaczyć się z Angelą i Lissy!

Wykład dotyczył ekonomii i symulacji wojennych. Rorvik dowiedział się, że większość bitew rozgrywała się jedynie w pamięci komputerów, które potrafiły przewidzieć przebieg oraz rezultat starcia, dzięki czemu słabsza strona mogła się zawnocześnie wycofać.

Przynajmniej teoretycznie.

- Kapitalistyczne komputery nie uwzględniły w swoich obliczeniach, że żołnierze Hegemonii dysponują dodatkową przewagą, jaką daje im świadomość występowania po stronie obiektywnej prawdy historycznej - dowodził prelegent, wysoki mężczyzna o urodzie południowca, z wąsami Stalina, co chwila zerkający nerwowo przez ramię. - Obywatele demokratycznego państwa nie są w stanie działać w pełnej harmonii, natomiast żołnierze Hegemonii wiedzą, że stanowią zbrojne ramię historii i w związku z tym nie mają żadnych rozterek. Swoją siłę czerpią z czystości ideologicznej, ale skąd miałyby się o tym dowiedzieć komputery programowane przez ludzi, którzy dorastali w odchodzącym w przeszłość, skazanym na zagładę systemie? Jedynie z informacji napływających z pola walki, gdzie dominacja walczących w słusznej sprawie oddziałów Hegemonii nie budziła najmniejszych wątpliwości. Nasze zwycięstwo było nieuniknione. W końcu komputery przeciwnika dostrzegły tę oczywistą prawdę, kapitaliści przekazali władzę w ręce rządu tymczasowego, ten zaś natychmiast polecił wojsku złożyć broń. Jakikolwiek opór stanowi zdradę stanu i będzie karany.

Rorvik słuchał wykładu śpiąc z otwartymi oczami i automatycznie notując co cenniejsze zwroty, by nazajutrz

rano powtórzyć je podczas zajęć reedukacyjnych w baraku. Dzięki uczestnictwu w wykładzie zyskał kilka dodatkowych punktów; kto wie, może kiedy do obozu dotrze transport żywności, dostanie na śniadanie dodatkową kromkę chleba?

Po oficjalnym wykładzie prelegent - który przed wojną był wykładowcą historii na uniwersytecie - zaprosił wszystkich zainteresowanych na prywatną rozmowę. Amerykanie stworzyli w obozie własny, podziemny system nauczania i chętnie korzystali z takich okazji, starając się wyłowić z propagandowej sieczki nieliczne ziarenka prawdy. Panowało powszechne przekonanie, że ruch oporu wciąż działa i przysparza okupantom mnóstwa problemów. Gdyby udało im się wytrwać jeszcze trochę, zdesperowani Rosjanie z pewnością zaczęły popełniać błędy, a wtedy kocury...

“Ruch oporu” był zwrotem zakazanym. Ponieważ za posługiwanie się nim groziła kara śmierci, niedobitki armii, które uniknęły schwytania i osadzenia w obozach, nazywano kocurami. Chociaż mówiono o nich prawie bez przerwy, nikt nigdy ich nie widział. Aż do tej pory.

Rorvik niezbyt dokładnie słuchał mężczyzny, który przyciszonym głosem opowiadał o potrzebie nieprzerwanego uaktualniania informacji służących jako dane wejściowe przy przygotowywaniu symulacji komputerowych. Myślał o czymś innym. Właściwie dopiero teraz uświadomił sobie, że nie pamięta okoliczności towarzyszących dostaniu się do niewoli, chociaż należało się spodziewać, iż tak brzemienne w skutki wydarzenie pozostawi trwałe ślady w jego wspomnieniach. Wszystko przez to, że stracił przytomność. Najpierw długo leżał ranny wśród ruin, krwawiąc obficie, a potem... Nie, wtedy na pewno go nie pojмали. Zginął, rozerwany wybuchami artyleryjskich pocisków.

Nie, to niemożliwe. Przeżył, przyłączył się do ruchu oporu, zdetonował bombę, w trakcie ucieczki schronił się w piwnicy, gdzie... To też niemożliwe. Przecież wtedy też zginął. Coś jest nie tak z jego pamięcią. Czyżby miał halucynacje? Raczej nie, bo tamte zdarzenia wydawały mu się równie realne jak otaczające go teraz betonowe mury i druty kolczaste.

Człowiek nazwiskiem Povelli odwrócił się nagle i ruszył w kierunku latryny, ale minąwszy Rorvika zatrzymał się gwałtownie, przyklęknął i udając, że poprawia sznurowadło, powiedział cicho:

- Zaczekaj kilka minut, a potem udaj, że idziesz do sracza. -
Rorvik rozejrzał się ukradkiem, ale nikt ich nie obserwował. -
Wiesz, gdzie jest szopa na narzędzia? Spotykamy się tam za dziesięć minut. Zagwiżdż, kiedy podejdziesz.

Rorvik skinął lekko głową, jakby dawał w ten sposób wyraz aprobachie dla słów profesora, Povelli zaś wyprostował się i ruszył w swoją stronę.

“Rozmowa” i tak dobiegała już końca. Rorvik rozprostował ramiona i potoczył dokoła uważnym spojrzeniem; nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi, więc odwrócił się na pięcie i niespiesznym krokiem podążył ścieżką prowadzącą do latryny.

Zdążył przejść zaledwie kilka metrów, kiedy podszedł do niego Szołochow, jeden z dwóch konsultantów, których zadanie polegało na wyjaśnianiu więźniom zawitości jedynie słusznej ideologii. Szołochow był dość sympatyczny i mówił po angielsku z wyraźnym brytyjskim akcentem, w którym tylko uważny słuchacz zdołałby usłyszeć delikatne słowiańskie naleciałości.

Poczęstował Rorvika papierosem. Wszyscy Rosjanie byli namiętymi palaczami. Rorvik nie odmówił, ale zaciągnął się tylko dwa albo trzy razy, aby okazać, że docenia zaszczyt, jaki go spotkał.

- Uczynił pan znaczne postępy, panie Rorvik - powiedział Szołochow. - Jest pan jednym z moich najlepszych studentów.

- Dziękuję panu - odparł z szerokim uśmiechem. - Staram się.

- Może chce pan się na coś poskarżyć? - zapytał Rosjanin, po czym bezradnie rozłożył ręce. - Naturalnie, zdaję sobie sprawę, że racje żywnościowe są trochę zbyt skromne, ale zapewniam pana, że wszyscy jesteśmy traktowani dokładnie tak samo, nawet strażnicy.

Rorvik zastanawiał się intensywnie, do czego zmierza Szołochow. Czyżby dowiedział się o spotkaniu?

- Nie, nie. Wszystko jest w porządku. - Wiedział równie dobrze jak Rosjanin, że narzekanie jest traktowane jako przejaw rewizjonistycznego myślenia. - Naprawdę.

- Chyba nie ma pan nic przeciwko małej pogawędce? - zapytał Szołochow, biorąc Rorvika za ramię. - Przyznam się, przyjacielu, iż niedawno dowiedziałem się o czymś, co bardzo mnie zasmuciło. Otóż jeden z pańskich towarzyszy - pozwoli pan, że nie podam jego nazwiska? - wymienił pana wśród osób sympatyzujących z ruchem oporu. Ma się rozumieć, natychmiast zapewniłem go, że to niemożliwe, on jednak uparcie trwał przy swoim zdaniu.

- To jakaś pomyłka! - zaprotestował stanowczo Rorvik. - Trzymam się od nich z daleka, daję słowo!

Konsultant spojrział na niego z zainteresowaniem.

- Doprawdy? A więc zna ich pan?

Miał ochotę odgryźć sobie język, ale było już za późno. Nie pozostało mu nic innego jak zachować kamienną twarz i udawać niewiniątko.

- Skądże znowu! Naturalnie, czasem dochodzą do mnie różne plotki, ale...

- Uwielbiam plotki.

- Nie wydaje mi się, żeby to było w porządku...

Szołochow nie pozwolił mu dokończyć.

- W tym obozie to ja decyduję, co jest w porządku, a co nie jest. Przecież nie ma pan do czynienia z barbarzyńcami! Zapewniam pana, że moja rola polega na niesieniu pomocy ludziom pragnącym przystosować się do życia w nowoczesnym społeczeństwie, nie na karaniu ich za nienowoczesne myślenie. Powinienem wiedzieć o wszystkich plotkach, nawet jeżeli istotnie są tylko plotkami, gdyż wówczas będę mógł szybciej dotrzeć do tych, którzy je rozpowszechniają, i pomóc im w odnalezieniu właściwej ścieżki. Może pan być ze mną całkowicie szczery.

Rorvik uśmiechnął się głupkowato, usiłując przybrać potulny wyraz twarzy prawomyślnego obywatela.

- Niestety, nie znam konkretnych nazwisk...

- Odnoszę wrażenie, że jednak nie ufa mi pan do końca. - W głosie Szołochowa rozbrzmiewał głęboki żal wzmocniony lodowatym, bezwzględny tonem. - Być może zbyt pochopnie uznałem pana za bystrego, inteligentnego

osobnika. Chyba zdaje pan sobie sprawę, że ten obóz to w istocie niemal luksusowy ośrodek wypoczynkowy? Jesteście tu traktowani nie jak więźniowie, tylko jak goście. W większości miejsc tego rodzaju wyżywienie jest znacznie skromniejsze, dyscyplina zaś, delikatnie mówiąc, bardziej surowa. Proszę mnie uważnie wysłuchać: rozmawiamy już co najmniej od dziesięciu minut. Sądzi pan, że nie zwróciliśmy niczyjej uwagi? Jak pan przypuszcza, co myślą ci wszyscy sympatycy ruchu oporu, widząc, jak przechadzamy się niespiesznie, pogrążeni w przyjacielskiej pogawędce? Czy obdarzą pana zaufaniem, nawet jeśli przysięgnie im pan, że niczego nie zdradził? Jeśli zdecyduje się pan mówić, gwarantuję panu pełne bezpieczeństwo; mam spore wpływy, zarówno w tym obozie, jak i gdzie indziej... - Pokręcił głową. - To nie mnie powinien pan teraz się obawiać. I tak zostanie pan czarną owcą, bez względu na to, czy coś mi pan powie, czy nie.

Rosjanin miał rację. Chociaż Rorvik nie przyłączył się jeszcze do ruchu oporu, i tak wiedział już zbyt dużo. Czy mógł jakoś uniknąć rozmowy z Szołochowem? Nie, ponieważ konsultanci d/s reedukacji dysponowali na terenie obozów niczym nie ograniczoną władzą. Obawiali się ich nawet strażnicy, natomiast więźniów, który unikał kontaktów z nimi, ryzykował życiem. Pech Rorvika polegał na tym, że Szołochow zagadnął go w niewłaściwej chwili. Zdawał sobie sprawę, iż bez opieki Rosjanina nie dożyje świtu.

Miał napięte wszystkie mięśnie, oddychał z najwyższym trudem. Bez trudu rozpoznał to uczucie; tak samo czuł się będąc obserwowanym przez niewidoczne, wrogie oczy unoszące się wysoko na niebie, kiedy oczekiwał nadejścia nieuniknionej śmierci.

Chciał żyć, ale właściwie po co? Jeśli będzie mówił, umrze ktoś inny. To było niesprawiedliwe, lecz Rorvik zbyt dobrze

zdażył już poznać wojnę, żeby się dziwić. Powoli pokręcił głową.

- Przykro mi. Naprawdę.

Mięśnie wciąż były napięte, ale przekonał się, że znowu może normalnie oddychać.

- Mnie także, panie Rorvik. - Szołochow zaczął jeszcze chwilę, po czym odszedł szybkim krokiem z taką miną, jakby dawał wszystkim do zrozumienia, że nie chce mieć nic wspólnego z Rorvikiem i zostawia go jego losowi. - Mnie także.

Rorvik zdawał sobie sprawę, że jego jedyną szansą na ocalenie jest jak najszybsze odnalezienie Povelliego albo kogokolwiek z ruchu oporu i wyjaśnienie zaistniałej sytuacji. Istniała niewielka nadzieja, iż mimo wszystko zdecydują się mu zaufać, pod warunkiem jednak, że bezzwłocznie się z nimi skontaktuje, udowadniając w ten sposób, iż nie ma nic do ukrycia.

Mimo to nie wykonał żadnego ruchu.

Coś było nie w porządku. Powinien znaleźć miejsce, gdzie mógłby spokojnie się zastanowić. Ale po co? Przecież równie dobrze może to zrobić tutaj, przy ogrodzeniu z drutu kolczastego.

Zacisnął powieki. Gdzie ja jestem, do diabła?

W obozie.

Na pewno?

Wciąż doskonale pamiętał okoliczności towarzyszące powołaniu do wojska, nadal bolały go bicepsy od pompek,

które kazał mu robić Driscott, kiedy jeszcze był PN... Kiedy? Chyba dwa lata temu.

Nieosiągalne.

Przecież zginął. Nieodwołalnie, do końca. Został trafiony w pierś, w głowę, rozerwany na strzępy eksplozjami pocisków artyleryjskich.

To też niemożliwe.

Symulacje komputerowe. Oto odpowiedź. Zapamiętał to jeszcze z cywila, kiedy supermocarstwa z Europy, Azji i Ameryki prowadziły bezustanne gry wojenne, analizując wszystkie możliwe scenariusze, szukając takiego, który dawałby im nadzieję na zwycięstwo. W większości przypadków bitwy toczyły się na poziomie skomplikowanych matematycznych operacji, ponieważ rezultat zależał od strategii i taktyki, czasem jednak istotną rolę odgrywał także czynnik ludzki. Przed zbudowaniem prawidłowo funkcjonujących modeli komputerowych programiści musieli wiedzieć, jak na polu walki zachowują się żywi ludzie. Mój Boże, przecież Driscott powiedział mu to na samym początku, tylko on, Rorvik, był zbyt głupi, żeby zrozumieć!

Otworzył oczy i spróbował odrzucić otaczającą go rzeczywistość. Nie ma żadnego obozu, nie toczy się żadna wojna. Wojny nie było również wtedy, kiedy otrzymał powołanie do wojska. Ile czasu minęło od tej chwili? Kilka dni? Miesiąc? Przede wszystkim, po co Rosjanie mieliby dokonywać inwazji na Stany Zjednoczone? Co by w ten sposób uzyskali? Ta wojna nie miała najmniejszego sensu - chyba że był to scenariusz, zakrojona na ogromną skalę mistyfikacja mająca na celu stwierdzenie, w jaki sposób żołnierze reagują na ekstremalne sytuacje, które mogą zaistnieć podczas operacji militarnych.

Rorvik znał nawet technologię, jaką się posłużono: nie była wiele bardziej skomplikowana od tej, która pozwalała mu sterować robotami bojowymi. Różnica sprowadzała się do znacznie lepszej rozdzielczości obrazu.

Istotnie, rozdzielczość była znakomita - do tego stopnia, że wszystko wyglądało jak prawdziwe. Ukryte mikrolasery przekazywały obrazy bezpośrednio do jego źrenic, podczas gdy on leżał przypięty pasami do stołu operacyjnego... Gdzie? Może w Waszyngtonie. Z pewnością zaaplikowali mu jakiś środek paraliżujący i podłączyli do mięśni przewody dostarczające fałszywe impulsy nerwowe. Być może skorzystali także ze specyfików wspomagających działanie hipnozy, aby tym łatwiej dał się oszukać, biorąc złudzenie za rzeczywistość.

Uszczyptał się, najpierw lekko, potem z całej siły; poczuł ból, ale to niczego nie dowodziło. To również mogła być symulacja.

Przypuszczalnie w tym sztucznym świecie oprócz niego przebywali jeszcze inni ludzie, ale którzy to byli? Westermarker? Driscott? Kto był prawdziwy, a kto sztuczny? Westermarker. Ona na pewno jest prawdziwa i wcale nie zginęła. Któregoś dnia wróci do męża i dzieci, po kilku dniach zacznie się zastanawiać, czy on, Rorvik, był żywym człowiekiem, czy jedynie komputerowym fantomem, ich krótkie spotkanie natomiast, zarejestrowane przez kamery, będzie wielokrotnie odtwarzane przez techników pełniących dyżur przy terminalach.

Minęła dłuższa chwila, nim uświadomił sobie, że jeśli tak jest naprawdę, to znaczy, że gdzieś - może nawet niezbyt daleko - Angela i Lissy żyją i czekają cierpliwie na jego powrót, nic nie wiedząc o nie istniejącej wojnie. Nie umierają z głodu w

obozie dla uciekinierów, nie spoczywają w bezimiennych mogiłach pod stertami gruzu. Żyją.

Wreszcie zrozumiał, po co został zwerbowany. Wcale nie po to, żeby być żołnierzem: jego zadanie polegało na uczestniczeniu w symulacjach odtwarzających rozmaite scenariusze wojenne. Ludzie, z którymi i przeciw którym walczył, nie istnieli. Dowódcy musieli wiedzieć, jak przeciętny amerykański obywatel zachowa się w ekstremalnych sytuacjach, w jaki sposób zareaguje na stres. Potrzebowali tych danych, żeby ich symulacje stanowiły dokładne odwzorowanie rzeczywistości. Walczył po to, by nikt nigdy nie musiał naprawdę walczyć.

Był pionkiem.

Ale kto nim sterował: Amerykanie czy Rosjanie? Może Ruscy także zapragnęli poznać reakcje amerykańskiego żołnierza, może naprawdę planują inwazję?

Bzdura.

Zaczął kręcić głową, najpierw powoli, potem coraz szybciej, nie zamykając jednak oczu, by dostrzec ewentualne usterki w obrazie. Po chwili rozboleła go głowa, ale nie przestawał.

- Wypuście mnie! - Więźniowie przyglądali mu się ze zdumieniem. - Przerwijcie symulację! Mam już dosyć, słyszycie? Mam dosyć!

Czaszkę rozsadzał mu pulsujący ból, ale świat wcale nie wydawał się mniej realny. Zacisnąwszy zęby, z całej siły rąbnął się pięścią w policzek, potem jeszcze raz, i jeszcze jeden. Po trzecim lub czwartym ciosie popłynęła krew, lecz Rorvik zupełnie się tym nie przejął, ponieważ odniósł wrażenie, które wkrótce potem przerodziło się w pewność, że widzi zarysy laboratoryjnych sprzętów, chwilę później zaś

kątem oka dostrzegł wpatrującą się w niego pozbawionym wyrazu spojrzeniem soczewkę mikrolasera. Natychmiast zaczął kręcić i potrząsać głową ze zdwojoną energią; zabudowania obozu, ogrodzenie z drutu kolczastego, wieżyczki strażnicze, wpatrzeni w niego więźniowie - wszystko stało się dwuwymiarowe, blade, jakby zwichrowane. Usiłował zerwać z głowy opaskę, do której było umocowane oprzyrządowanie, ale, choć podniósł ręce, jego palce na nic nie natrafiły. Szarpnął się raz jeszcze. Ułamek sekundy przed tym, jak stracił przytomność, zobaczył wyraźnie pokój wypełniony skomplikowanym sprzętem i komputerami oraz trzech lekarzy pochylających się nad nim z wyrazem niepokoju i troski na twarzach.

8. Człowiek ze służby rekrutacyjnej podziękował Rorvikowi, przypomniał raz jeszcze o karach, jakie mu grożą, gdyby zamienił z kimkolwiek choćby słowo na temat swoich niedawnych przeżyć, po czym uściśnął mu rękę. Angela czekała w otwartych drzwiach. Dom wyglądał trochę inaczej, niż go zapamiętał: wydawał się mniejszy, pomalowany na bardziej jaskrawy kolor. Nie było go zaledwie tydzień.

Przestań. Gdyby to była symulacja, posłużyliby się fotografiami i wszystko wyglądałoby tak, jak należy.

Odruchowo rozejrzał się dokoła, sprawdzając, czy w krzakach nie czai się robot bojowy albo sonda zwiadowcza nieprzyjaciela. Powinien przełączyć się na podczerwień... Z trudem zmusił się do zachowania spokoju, rozluźnił napięte mięśnie. Nie ma żadnej wojny. Nic mu nie grozi.

Rządowy samochód odjechał, zza Angeli zaś wypadła Lissy i co sił w nóżkach pobiegła ku ojcu. Przykucnął, rozłożył ramiona, a ona rzuciła mu się w objęcia z takim impetem, że niewiele brakowało, by oboje runęli na chodnik.

- Tatusiu, wróciłeś! Tak za tobą tęskniłam!

Objął ją mocno, podniósł, przycisnął do piersi. Była wyższa i cięższa niż w jego wspomnieniach. Czy to możliwe, by przez tydzień tak bardzo urosła? Włosy miała odrobinę ciemniejsze, twarz szczuplejszą i bardziej zwyczajną.

- Ja też za tobą tęskniłem, Tygrysiatko.

Zmarszczyła noski i, nie przestając się uśmiechać, zamruczała jak rozdrażniony tygrys, on zaś wtulił twarz w jej włosy, po czym odpowiedział podobnym, tyle że znacznie niższym i donośniejszym mruknięciem. Dziewczynka zachichotała radośnie.

Tego chyba nie zdołałby sfalszować żaden komputer.

Podeszła Angela. Rorvik przygarnął ją mocno i długo stał bez ruchu, tuląc do piersi córkę i żonę.

- Mnie też bardzo ciebie brakowało, Kocurze - szepnęła Angela.

Tym razem to było naprawdę.

Wrócił do domu.

Naprawdę.

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik